

Marek Słomianowski
O Andrzeju Kocie – pro memoriam

Wieczorem, około 7 godziny, 17 lutego 2015 roku zmarł w szpitalnym łóżku Andrzej Kot, grafik, kaligraf, drukarz, artysta. Zmarł w dniu, który nasz infantylny świątek ogłosił Dniem Kota. Cóż, Jędrzek zapewne o tym nie wiedział, a nawet gdyby, to tylko pewnie uśmiechnąłby się tak po kociemu, i na tym poprzestał. Bo tak naprawdę to nasz świat chyba niespecjalnie Kota obchodził. Nie pociągała go kariera, nie gonił za sławą i mamoną. W zasadzie krom liter, papieru i druku to troskał się on jeno o stalówki i papierosy, które palił i nałogowo, i namiętnie. A może to była tylko taka kocia poza, może było zupełnie inaczej, któż to wie? Ale zacznijmy od początku.

Koci ród

Pod koniec ubiegłego stulecia nazwisko Kot nosiło 19 tysięcy osób, mieszkających głównie w województwach: lubelskim, podkarpackim, małopolskim. Zaś początki szlacheckiego rodu Kotów sięgają, bagatela, wieku XIV. Nieoceniony Adam Boniecki w swoim *Herbarzu polskim* opisuje zacy ród Kotów herbu Pilawa ze wsi Kotki. Starszy zaś Bartosz Paprocki pośród *Herbów rycerstwa polskiego* wymienia herb Kot, który wyglądał tak, „że kot szary w żółtym przepasaniu na czerwonym polu siedzący. Pisze o nim Długosz, że ma być *catus marinus*, skąd przyniesion, albo za co nadan nie mogłem nic pewnego wywieść”. A inne Kocie rody pieczętowały się Doliwą, Kotem Morskim, Puchałą, Rawiczem, Rolą i Sulimą. Wśród znanych i zacych Kotów mieliśmy kasztelana nakielskiego, rycerza spod Grunwaldu i świadka pokoju z Zakonem, a później Unii w Horodle, Macieja Kota z Dębna, zmarłego między 1430 a 1432 rokiem, ojca Wincentego, późniejszego arcybiskupa gnieźnieńskiego (1395–1448), prymasa Polski, podkanclerzego koronnego i kardynała z nadania antypapieża Feliksa V. Był zacy profesor zajmujący się dziejami kultury, a niezbyt skuteczny polityk związany z emigracyjnym PSL-em, Stanisław Kot (1885–1975). Ba, był nawet seryjny morderca kobiet Karol Kot (1946–1968), któremu poeta Marcin Świetlicki poświęcił jeden ze swoich wierszy. Są skoczki narciarscy, aktor, a nawet prowincjał jezuitów, ojciec Tomasz Kot, urodzony w 1966 roku. No i był nasz, lubelski Andrzej Kot, jedyny i niepowtarzalny. Kot nad Koty. Urodził się on w Lublinie 21 listopada 1946 roku. Jego ojciec miał na imię Antoni i przyszło mu żyć między 1905 a 1984 rokiem, w czasach kiedy świat przewrócił się kilka razy do góry nogami. Z zawodu był mistrzem masarsko-wędliniarskim lub, jak mówił sam Andrzej, „rzeźnicko-wędliniarskim”, co potwierdzał piękny, litografowany dyplom mistrzowski. Po

wojnie pracował w zakładzie wędliniarskim przy ulicy Wschodniej, należącym do Lubelskich Zakładów Mięsnych. Andrzejowy dziadek, ten po mieczu, czyli ojca ojciec, był podobno nadleśniczym – pewnie gajowym w dobrach hrabiego Krasieńskiego. Drugi z dziadów był wiejskim rzeźbiarzem. Strugał w drewnie świątki, robił zabawki i z tym krążył po okolicznych jarmarkach – tak go wspominał wnuk, który być może od dziada wziął talent plastyczny obecny w rodzinie, „bo i krewny Franek Szczygiel spod Lublina rzeźbił kamienie polne”. Mama Andrzeja, pani Czesława Kot z domu Pawelec (15 września 1915–28 lutego 1994) parała się handlem kwiatami, a to na murku przy Krakowskim Przedmieściu, przy Kalickim opodal kościoła Świętego Ducha, na lubelskich targowiskach. Kwaciarsstwo wówczas nie przynosiło specjalnych zysków. Państwo Kotowie doczekali się trzech synów. Najstarszego Zdzisława, młodszego Andrzeja i najmłodszego Zbigniewa. Pięcioosobowa rodzina zajmowała niewielkie mieszkanie przy ulicy Podlaskiej, nieopodal parku Bronowickiego i kościoła pod wezwaniem Świętego Michała Archanioła przy ulicy Fabrycznej. Ten fragment Lublina do zbyt reprezentacyjnych nie należał. Zresztą całe miasto bardzo, bardzo powoli dźwigało się z wojennej pożogi, od której minęły dopiero miesiące, straszło rumowiskami, pogorzeliškami, a nade wszystko straszną biedą. Mieszkanie państwa Kotów skromne i pozbawione jakichkolwiek zbytków, to było „istne szczurowisko”, w którym, jak wspominał Andrzej, „tata zastawiał na te gryzonie specjalne pułapki, a potem widłami wynosił z domu padłe bestie”. Małeńki Andrzejek chrzest święty przyjął zapewne w kościele parafialnym pod wezwaniem Świętego Michała Archanioła przy ulicy Fabrycznej, remontowanym w latach 1944–1947, po tym jak w latach okupacji świątli i kulturalni Niemcy przerobili świątynię w magazyn zbożowy i stajnię, a chrzczył go zapewne ksiądz kanonik Edward Niećko, proboszcz parafii w latach 1947–1953, kapłan, który po zniszczeniach wojennych odnowił świątynię zbudowaną według projektu Oskara Sosnowskiego w latach 30. XX wieku.

Stare Miasto – szkoły

Przez kilka lat rodzina Kotów starała się o przyznanie nowego, lepszego mieszkania, o co w ten tużpowojenny czas łatwo nie było. Wreszcie w 1952 roku otrzymali od miasta przydział na lokal mieszkalny przy ulicy Grodzkiej 19, na parterze, po lewej stronie sieni, pod łamanym numerem 2/3, w kamienicy, w której dziś pyszni się hotel Waksman, a która powstała gdzieś koło XVII wieku. Sześćcioletni Andrzej z braćmi i chłopakami ze Starówki bawili się pośród gruzów i płynących rynsztokami ścieków, „bo place zabaw dopiero później zaczęto organizować”. Odrapane frontony, ciemne, wilgotne i głębokie piwnice, tu i ówdzie pozostałości po wojnie, to sceneria w jakiej przyszły artysta dorastał. Potem, z okazji X-lecia PRL-u, w 1953, 1954 roku przebudowano Zamek i z katowni uczyniono muzeum i placówkę kultury. Wyremontowano też i odnowiono frontony

staromiejskich kamienic. Z wierzchu było pięknie i prawie renesansowo, mieszkania zaś i podwórka nie zmieniły się ni na jotę – dalej ponure, wilgotne, zaniedbane. W 1953 roku, jako siedmioletni młodzian, rozpoczął Andrzej Kot naukę w Szkole Podstawowej nr 19 mieszczącej się wówczas przy ulicy Złotej, a później przeniesionej na ulicę Szkolną numer 6 na wzgórzu Czwartek. Pierwszą nauczycielką przyszłego artysty była pani Ciesielska. Szkoła zaś kształciła w systemie siedmioletnim. To właśnie wtedy, będąc jej uczniem, zapisał się, kilkuletni smyk, do działającego od 1956 roku Miejskiego Domu Kultury z siedzibą na Zamku Lubelskim, a konkretnie do ogniska plastycznego. I tu, rzecz można, rozpoczęła się właściwa, wyboista i kręta, Kocia droga. W roku szkolnym 1959/1960, po kilku latach szkolnych wzlotów i upadków, niespełna czternastoletni Andrzej Kot ukończył edukację w szkole podstawowej i dalsze nauki postanowił pobierać w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych, mieszczącym się naprzeciwko jego domu przy ulicy Grodzkiej 32–34. Z podstawówki musiał pan Andrzej wynieść niezłe przygotowanie, bo bez większych kłopotów zdał egzaminy wstępne i dostał się do „plastyka” – szkoły średniej, w której nauka trwała lat pięć i kończyła się egzaminem maturalnym. Mniej więcej w tym samym czasie zetknął się Andrzej Kot z kołem teatralnym. Owóż gdzieś między 1960 a 1962 rokiem grający w Teatrze Osterwy zawodowy aktor Henryk Bista (1934–1997) i jego przyszła żona Urszula Mordzewska (1934–2006), początkująca reżyser, prowadzili w zamkowym domu kultury koło teatralne, do którego swój akces złożył nasz bohater. Jak sam wspominał, grał w *Uczniu czarnoksiężnika*, w *Królewiczu i żebraku* i, nomen omen, w *Kocie w butach*. Krótki to był epizod i nietrwała przygoda z teatrem, bo w 1962 roku młode małżeństwo Bistów opuściło Lublin i przeniosło się do Teatru Wybrzeże w Gdańsku, zaś prowadzone przez nich koło, czy ognisko teatralne zaprzestało swej działalności.

W liceum prowadzonym przez pana kierownika Eugeniusza Baranowskiego (1916–1988) młoda, acz zanadto samodzielna i niezależna Kocia natura zderzyła się dość mocno z rygorem i wymaganiami. Bo o ile przedmioty plastyczne pociągały, frapowały i nie stanowiły problemu, to zgłębianie tajemnic przedmiotów ścisłych stanowiło istną katorgę! Szkoła i jej uczeń wytrzymali ze sobą trzy lata i rozstali się za obopólną zgodą. Mówiąc prosto i bez ogródek, Andrzeja Kota relegowano ze szkoły zapewne za mierne postępy w nauce przedmiotów ogólnych. Wyrzuconemu ze szkoły nastolatkowi pozostało podjąć naukę zawodu, trzeba było zostać uczniem – czeladnikiem, bo potrzebne były środki na utrzymanie.

Drukarskie terminowanie i służba wojskowa

Zapisał się więc Andrzej na takie terminowanie do wielkich i nowoczesnych Lubelskich Zakładów Graficznych imienia PKWN, mieszczących się przy ulicy Unickiej 4, a zdarzyło się to około 1964

roku. Młody uczeń praktykant trafił do zecerni ręcznej i afiszowni, do produkcji wielkich form drukarskich i akcydensów. Tyrał tu ciężko, bo taki już los czeladnika, ale za to poznawał „mistrzów czarnej sztuki”, co to fachu uczyli się jeszcze przed wojną, zecerów, maszynistów i innych. Podpatrywał ich, zgłębiał techniki druku i coraz bardziej rozkochiwał się w czcionkach i literach. Zwłaszcza że ciągle należał do koła plastycznego działającego przy MDK-u. W nim to spotkał jednego z pierwszych swoich mistrzów, a mianowicie pana Ryszarda Tkaczyka (zm. 1987), wówczas młodego instruktora grafiki, absolwenta Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie i czynnego artystę specjalizującego się w grafice użytkowej. Tenże wychowawca, a potem przyjaciel Andrzejowy, zorganizował na Zamku skromną pracownię graficzną, gdzie prasę sporządzono z wałków wyżymaczki zdemontowanych z pralki „Frانيا” i na nich odbijano pierwsze próby graficzne młodych „czeladników czarnej sztuki”. Później podobna pracownia działała w piwnicy pod mieszkaniem braci Kotów.

Po paru latach nauki i pracy, kiedy Andrzej Kot osiągnął pełnoletność, upomniało się o niego Państwo Ludowe i wcielonym został w szeregi Ludowego Wojska Polskiego, a to „w celu odbycia zasadniczej służby wojskowej”. Trafił nasz poborowy do odległych garnizonów, bo do Morąga i Braniewa. Wojak z niego był żaden, wobec czego „załapał się na tak zwaną fuchę”, czyli został pułkowym dekoratorem i miast „giwerą” wywijał ochoczo pędzlem, malując socjalistyczne hasła i okolicznościowe tablice. Tak pan Andrzej przepędził dwa lata służby 1966–1968. Specjalnie się nie nawojował, ale i tak dusza wrażliwa zemściła się potem na Ludowym Wojsku Polskim prześmiewczym „szwejkotem”, gdzie grafiką, literą i wierszem, podziękował rezerwista „za bramy, za sztaby, za kłódki, za wczesne pobudki...”.

Kot artysta

Wiosną 1968 roku powrócił Kot do rodzinnego miasta. Do domu, do pracowni, do pracy. Powrócił i wpadł w kierat i monotonię tak zwanego zwykłego życia w PRL-u. Praca – dom, dom – praca, i tak co dzień. Było to zbyt wiele dla natury Kociej. Wytrzymał na etacie dwa lata z okładem i w 1970 roku złożył wymówienie, bo jak sam powiedział, „tam potrzebowano człowieka produkcji, a mnie ciągnęły formy artystyczne”. No i zaczęło się Kocie szwendanie, w myśl zgrabnej Kociej rymowanki: „jam jest Jędrzek z Kotów do kłopotów zawsze gotów”. Pracował tu i tam. W Klubie Garnizonowym, przy ulicy Żwirki i Wigury 6 – w latach 1970–1971, Spółdzielni Fotograficznej „Zorza” – 1973 roku, w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego wykonywał większe lub mniejsze zlecenia plastyczne. Na dłużej związał się z Wojewódzkim Domem Kultury, który osiadł w dawnym pałacu Tarłów przy ulicy Dolnej Panny Marii 3, bo pracował tam pan Andrzej najpierw w 1973, a potem między 1976 a 1985 rokiem, od 1980 roku na

stałym etacie. W międzyczasie pojawiła się też choroba, choroba straszna bo „choroba duszy”. Zapadł Andrzej na schizofrenię. Co jakiś czas trafiał do szpitala w Abramowicach i dostał niewielką rentę, bo uznany został za inwalidę III grupy. Wtedy też, jak sam mówi: „byłem na rencie i tak zacząłem właściwie... tuszem, piórem, dłutem... piórkiem, no, różnego rodzaju eksperymenty robić, z kaligrafią, literą i z projektowaniem graficznym...”.

Poza pracą zawodową, poza problemami z chorobą, wspólnie z młodszym bratem i panem Tkaczykiem – uznanym już artystą grafiką – w piwnicy przy ulicy Grodzkiej 19 tworzył Kot we własnej, dosłownie podziemnej, pracowni graficznej. Po paru latach drogi pana Andrzeja Kota i pana Tkaczyka rozeszły się bezpowrotnie. Z bratem Zbigniewem odbył zaś Andrzej podróż swego życia, gdzieś między 1977 a 1978 rokiem. Korzystając z sytuacji, iż Zbyszek studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, starszy brat wybrał się do niego. Zrazu „waletował”, czyli mieszkał nielegalnie w studenckim akademiku, w którym zameldowany był najmłodszy z Kotów. Potem bracia wynajęli wspólnie opuszczoną willę – domek na Jelonkach. Żyli grafiką i z grafiki, bo drukowali nawet modne wówczas wzory na letnich koszulkach, co pozwalało im i komorne opłacić i głodem nie przymierać. Student Akademii Sztuk Pięknych, Zbigniew Kot, praktykował też w Doświadczalnej Oficynie Wydawniczej, prowadzonej przez świetnego typografa i artystę książki pana Leona Urbańskiego (1926–1998), jednego z najwybitniejszych typografów polskich swojej doby, przy tym profesora Akademii Sztuk Pięknych. Starszy brat, Andrzej, najpierw mu towarzyszył, a tak naprawdę poszedł na praktyki za brata. Poszedł za brata i tak wsiąkł na rok w atmosferę Oficyny, zaprzyjaźnił się i z szefem, i z pracownikami¹. Razem pracowali, razem biesiadowali, razem dyskutowali o literach, czcionkach, krojach, stopniach, papierach. Znalazł wśród nich i przyjaciół i admiratorów swojego talentu. Ten roczny alians z typograficznym Parnasem otworzył młodemu grafikowi wrota kariery. Opracowany typograficznie i graficznie fragment wiersza *Wróblek* Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego wysłany do Brna na Międzynarodowe Biennale Grafiki Użytkowej w 1978 roku, został przyjęty do konkursu, na którym medale srebrny i brązowy przypadły polskim twórcom, w kolejności: Grzegorzowi Marszałkowi i Andrzejowi Pągowskiemu. W 1980 roku dzięki artykułowi w majowym numerze „Projektu”, który napisała Anna Jasińska, o lubelskim artyście dowiedział się krajowy świątek graficzny, a 4 października 1982 roku przyjęto go w poczet Związku Polskich Artystów Plastyków. W kilka lat później, a dokładnie w 1984 roku, przyszedł największy sukces w artystycznym życiu Andrzeja Kota. Oto na X, jubileuszowym, Międzynarodowym Biennale Ekslibrisu Współczesnego, organizowanym od 1963 roku na Zamku w Malborku, doceniono jego dzieła i razem z Cees Andriessen (ur. 1940), uznanym grafiką z Niderlandów, otrzymał nagrodę ufundowaną przez Ministra Kultury i Sztuki. Potem posypały się wystawy indywidualne w rodzinnym Lublinie,

¹ Andrzej Kot współpracował z Doświadczalną Oficyną Wydawniczą od 1977 do 1985, kursując pomiędzy Warszawą i Lublinem.

Siedlcach, Elblągu, Olsztynie. Zaprzyjaźniony i ceniący Andrzeja Kota Leon Urbański oraz jego pracownicy z Krzysztofem Jerominkiem na czele propagowali jego twórczość, prezentując ją największym sławom rodzimej grafiki, a to Janowi Młodożeńcowi, a to Januszowi Stannemu, a to innym tuzom znanym i w Europie, i w świecie. Doskonale też przysłużyła się Andrzejowi uprawiana przezeń namiętnie „sztuka poczty”. Owóz pakował ci on w pięknie adresowane koperty i gustowne paczuszki, znaczną część swojego „Kociego bałaganu” i wysyłał w miejsca bliskie grafice i literze. Tak jego twórczość trafiła do Muzeum Gutenberga w Moguncji. Tak też poznał Kota i nawiązał z nim ponadpiętnastoletnią korespondencję najsłynniejszy z rytowników polskich XX wieku, Czesław Słania (1921–2005), który całe dzieciństwo spędził w podlubelskich Osmolicach. Ukończył krakowską Akademię Sztuk Pięknych. Wyemigrował do Królestwa Szwecji, gdzie za wybitne osiągnięcia zawodowe otrzymał tytuł Nadwornego Rytownika Króla Szwecji Gustawa VI Adolfa. Autor ponad tysiąca znaczków dla poczt 32 krajów. Projektant banknotów dla dziesięciu państw. Wreszcie twórca najpiękniejszego znaczka świata pt. *Balet* wydanego przez pocztę szwedzką w 1979 roku. Pan Czesław Słania pokazał Kota światu². Pewnie dzięki jego autorytetowi, a może i wstawiennictwu, prace lublinianina ukazały w wydawanym w stolicy Japonii, Tokio, w branżowym czasopiśmie graficznym „Idea”. W numerze 213 tegoż, wydanym w styczniu 1989 roku, Paul Peter Piech (1920–1996) osiadły w Walii amerykański grafik ukraińskiego pochodzenia, napisał o Andrzeju „The King Cat of Graphics”. Reprodukcyjne prac i krótkie teksty o autorze zamieściły też już wcześniej zagraniczne periodyki: nowojorski „Upper and Lower Case” Herba Lubalina, kalifornijski „Fried Caligraphie”, węgierski „Magyar Graphic” i kilka innych czasopism zajmujących się grafiką, kaligrafią i liternictwem. „Upper and Lower Case”, jedno z najbardziej prestiżowych wydawnictw branżowych, ukazujące się w latach 1970–1999 i przez jedenaście lat zawiadywane artystycznie przez Herba Lubalina (1918–1981), amerykańskiego grafika, projektanta i propagatora ciekawych i oryginalnych rozwiązań graficznych i literniczych, dwakroć zamieściło reprodukcje prac Andrzeja Kota z niezmiernie sympatycznymi notkami sporządzonymi przez Marion Muller (1922–2007), malarkę i krytyka sztuki. Po raz pierwszy w numerze czerwcowym z 1982 roku ukazał się jej tekst pod znamienym tytułem: *Ex libris ex manu ex Kot ex Poland* i reprodukcje kilkunastu ekslibrisów Andrzeja. Drugi raz, w 1985 roku w numerze z sierpnia, pokazała pani Marion Muller jeden z Kocich alfabetów, opatrując go zabawnym tekstem *Kot's joke*.

Sukcesy i publikacje nie przewróciły Kotu w głowie, ba, nawet specjalnie nie wpłynęły na jego „Kocie dole i niedole”. Pamiętać musimy, że w latach 80. ubiegłego stulecia artysta wędruje swoją „drogą przez mękę”. Od 1974 roku ciągle boryka się ze schizofrenią. Co jakiś czas trafia do

2 O znajomości Andrzeja Kota z Czesławem Słanią mówi Lech L. Przychodźki i wiele osób za nim powtarza tę informację, ale należy podejść do niej ostrożnie. Nie wszystkie osoby znające twórczość i życie Andrzeja Kota potwierdzają tę informację.

szpitala. Co ciekawe, zaraża swoją sztuką personel tegoż. Pośród lekarzy znajduje przyjaciół. Ba, doczekał się nawet kilku wystaw w szpitalnych murach. Na domiar złego umierają mu też rodzice i, jak spointował swoją dolę Andrzej, „kiedy nie ma ojca, matki, chude muszą być obiadki”. Całe szczęście nie brakło „bratnich dusz” spieszących z większą czy mniejszą pomocą. Znana lubelska scenograf, pani Teresa Targońska, nakarmiła i czasem pod dach przyjęła, drobnym datkiem wspomógł Zbigniew Józwik. Mieszkający w Kanadzie grafik i bibliofil Henryk Wójcik przyjeżdżał do kraju zawsze z jakąś „fundacją” dla Kota. Ileż radości sprawiały Andrzejowi świetne stalówki, o które wtedy było trudno, przywożone zza oceanu przez kolegę artystę. Potrafił o nich opowiadać przez miesiące i lata. Pomagali koledzy drukarze, bibliotekarze, a pośród nich szczególnie Jacek Wałdowski, długie lata sąsiad, kolega z dzieciństwa i przyjaciel do grobowej deski, czy pani Urszula Kowalska. Sprzedawał też Andrzej swoje prace. Choć chyba precyzyjniej ten proceder oddaje jedna z jego rymowanek: „gdzie się nie ruszę, druczkami proszę”. Za kilka złotych potrzebnych na paczkę papierosów, bez których Kot nie mógł i nie chciał się obejść, zostawiał wiele swoich arkuszy, bardzo często odręcznych prac, sygnowanych, bądź zaopatrzoną w dowcipną inskrypcję. Rozpraszał tak Andrzej Kot całą swoją twórczość. Dalej też słał po świecie całym swój „Koci bałagan”. Wysyłał listy i paczki kolekcjonerom, muzeom, galeriom. Tym, którzy go chcieli i tym, którzy nie pojmowali sensu przedsięwzięcia. Projektował ekslibrisy, wizytówki, zaproszenia. W 1981 roku lubelski oddział Krajowej Agencji Wydawniczej na zlecenie Związku Pisarzy Polskich i Związku Artystów Polskich wydał wykaligrafowany przez Andrzeja *Traktat moralny* Czesława Miłosza z grafikami Zofii Kopel-Szulc. Kilka lat później, bo 1985 roku w tej samej kaligraficznej formie wydano *Treny* Jana Kochanowskiego z rycinami Stanisława Góreckiego. W międzyczasie, w 1984 roku wydano też *Kalendarz Lubelski* ozdobiony Andrzejowymi grafikami. Sporo radości sprawiło też lubelskiemu artyście umieszczenie jego pracy w kalendarzu *Scriptura* wydawanym w niemieckim Offenbach, w wydawnictwie Wilhelma Kumma, prezentującym graficzne wariacje z literą i alfabetem. Satisfakcjonowało też Andrzeja zakwalifikowanie jego prac na Biennale Humoru i Satyry w Sztuce odbywające się od 1 kwietnia 1972 roku w Domu Humoru i Satyry w bułgarskim Gabrowie pod hasłem „świat istnieje, gdyż się śmieje”, czy też wyróżnienie, jakie otrzymał z Muzeum Wina we włoskim Torgiano.

W 1986 roku Leon Urbański wspólnie z krytykiem sztuki Andrzejem Matynią (1940–2012) uhonorowali Kota pięknym drukiem bibliofilskim, cudownym „cymelium” o pikantnym tytule *Prawdziwa cnotka nie boi się kotka*. Jest to książeczka wydana w nakładzie pięciuset numerowanych maszynowo egzemplarzy, złożona czcionką Maxima 10 na szlachetnych papierach Fabriano i Aviomari, a wytłoczona w Doświadczalnej Oficynie Wydawniczej Pracowni Sztuk Pięknych w Warszawie. Wydrukowano ją w formacie ósemki, miała 24 cm w grzbiecie, a na 28 nienumerowanych stronach umieszczono reprodukcje 24 Andrzejowych ekslibrisów i kilka słów o

nim i jego pracach. Całość w miękkiej oprawie broszurowej i w gustownej obwolutie. Sam autor mimo niewątpliwych splendorów w dostatki nie opływał. Dalej wiódł niezmienny koci żywot. Przyjaciele odchodzili i pojawiali się nowi. W latach 90. Kocim przytuliskiem był sklepik ze starociami przy ulicy Zielonej, który Andrzej nazwał „lamusem historycznym”, należący do pani Małgorzaty Popek, sklep zoologiczny przy tej samej uliczce prowadzony przez pana Sułka. Dalej odwiedzał Bibliotekę im. Hieronima Łopacińskiego, zaprzyjaźnionych drukarzy, księgarzy, przyjaciół i miękkim kocim krokiem, zawsze zaaferowany i jakby ciągle spieszący się dokądś, szedł Grodzką, Krakowskim, Kozią, Narutowicza. Wtedy to wykwaterowano go ze Starego Miasta. Owszem, dostał nowe mieszkanie, nawet i pracownię. Tylko jak miał żyć „stary śródmiejski Kot” gdzieś na obrzeżach, gdzieś w nowych dzielnicach? Kiedy antykwariat przy ulicy Zielonej został zamknięty, drugim domem Andrzeja stała się siedziba Info-Artu na pierwszym piętrze kamienicy naprzeciw Ratusza, przy ulicy Krakowskie Przedmieście 2. Tu w towarzystwie pani Magdaleny Kielkiewicz i pana Ireneusza Madeja siedział sobie, palił, pił kawę, rysował i rozmawiał. Coraz częściej wyjeżdżał też Andrzej w gościnę do najmłodszego z braci, Zbigniewa, do Grodziska Mazowieckiego. Bawił tam całe miesiące, a raz to chyba nawet dwa lata. Miał tam wikt, opierunek, dach nad głową i opiekę rodzinną, bo kiedy wracał do rodzinnego miasta, to zwykle wyglądał o niebo lepiej niż wtedy, gdy zeń wyjeżdżał. A w Lublinie jak zawsze borykał się z dniem powszednim. „Prósząc” druczkami, jakoś tam zarabiał na czynsz za pracownię i jakie takie utrzymanie. Prócz zwykłego „Kociego bałaganu” wydał gdzieś około 1997, 1998 roku cykl kilkunastu pocztówek graficznych pod nazwą *Kotland*. U zaprzyjaźnionego kierownika małej poligrafii w Wojewódzkim Ośrodku Doskonalenia Nauczycieli, Zbigniewa Furmana, towarzysza sztuki drukarskiej i kompana, pracowali nad zabawnym i frywolnym tomikiem pod tytułem *Kotofrarchy*. Wcześniej, bo w 1995 roku doczekał się Andrzej splendoru nad splendory. W pięknym, wydanym w Ravensburgu, w Badenii-Wirtembergii, albumie pod tytułem *Das Alphabet. Die Bildwelt der Buchstaben von A bis Z*. Autorzy tegoż, Joseph Kiermeier-Debre (ur. 1957) i Fritz Frantz Vogl, umieścili dwa Kocie alfabety. Ba, wydawnictwo dostało drugą nagrodę w konkursie na najpiękniejszą niemiecką książkę roku, zorganizowanym we Frankfurcie przez Fundację Sztuki Książki. Jeśli się nie mylę, wspomnianą publikację ofiarował Andrzejowi Piotr Mordel zwany Moredelusem z Berlina.

Lata 90. ubiegłego wieku to czas współpracy Andrzeja Kota z gazetami wydawanymi przez Marka Łosia i Kajetana Wojtysiaka (1938–2002). Zarówno w „Gazecie Powszechnej Poczty”, jak i w „Miejskiej Gazecie Powszechnej” redaktorzy umieszczali jego grafiki. A ponieważ obydwa przedsięwzięcia kulały finansowo, nie raz i nie dwa zdarzyło się, że należną grafikowi gażę wypłacał z własnej kiesy pan Kajetan.

Dwudziestego dziewiątego lutego 2000 roku w Centrum Kultury przy ulicy Peowiaków 12 odbyły

się *Kocie zapusty*. Najpierw otwarto wystawę Kocich prac, potem była premiera filmu Grzegorza Linkowskiego, pod tytułem *Alfabet Kota*, na koniec zaś Jarosław Koziara poprowadził aukcję Andrzejowych grafik, specjalnie na ten cel wydanych, z której dochód miał pójść na wsparcie autora. Było to chyba najświetniejsze uczczenie artysty w jego rodzinnym mieście. Tytułowy *Alfabet Kota* na ścianie bramy wiodącej ku Farze spłowił. Pan Andrzej coraz częściej wyjeżdżał do brata, chyba też coraz mniej tworzył. Jeszcze tylko jego uczeń i przyjaciel Jacek Wałdowski wydał mu dwa tomiki prac. W domach kultury, bibliotekach organizowano mu wystawy. W 2007 roku uhonorowano Andrzeja nagrodą Angelusa, uznając go artystą roku 2007. W tym też samym roku posłał swoje prace na ostatnią międzynarodową wystawę, w której wziął udział. Był to II Międzynarodowy Konkurs Ekslibrisu w Ankarze, zorganizowany przez Uniwersytet Hacettepe i ankarskie Towarzystwo Ekslibrisu.

Lata ostatnie to, cóż... chyba częściej i dłużej bywał Andrzej u brata w Grodzisku Mazowieckim niżli w Lublinie. Tu zaś ostatnią jego przystanią, ostatnim przyjaznym domem był wspomniany już wcześniej lokal przy Krakowskim Przedmieściu pod numerem 2, wynajmowany przez Info-Art, tam Andrzeja zawsze można było spotkać, kiedy tylko do Lublina zawitał. Zaglądał oczywiście do Jacka Wałdowskiego, na kawę wpadał do Grzegorza Linkowskiego. Mało już tworzył. Częściej wspominał. Doczekał się też trzech prac magisterskich o sobie obronionych na Wydziale Artystycznym UMCS. Były to w kolejności: Sławomira Kulczyckiego *Andrzej Kot – kaligraf i grafik z Lublina z 1997 roku* (promotor: dr Agnieszka Weysenhoff), w 2011 roku praca Łukasza Łukasiewicza *Twórczość Andrzeja Kota* (promotor: prof. sztuk plastycznych Andrzej Myjak). I wreszcie Aldony Popek *Życie i twórczość Andrzeja Kota* (promotor: dr Ewa Letkiewicz), którą obroniono w 2014 roku. We wrześniu tegoż samego roku w wydawnictwie „Test” pana Bernarda Nowaka, edytora i literata, ukazała się nowa edycja *Przewodnika po Lublinie*. Lico okładki tej pięknej publikacji przyozdobił wydawca grafiką Andrzeja Kota, tą z „Bramą Krakowską, diabłem i aniołem”. Edytor zaprosił też artystę na wieczór promujący *Przewodnik*. Było to chyba ostatnie spotkanie Andrzeja z lubelską publicznością, bo Andrzej zmagął się już z chorobą.

Ostatnią wystawę dla lubelskiego artysty zorganizowała Miejska Biblioteka Publiczna w Lublinie w swojej Galerii „Okna” (ulica Peowiaków 12) w listopadzie tegoż roku pod świetnym tytułem: *Pstro, pstrawo, pstrokato, krople kolorów, lato*. Na wernisażu wystawy, 21 listopada 2014 roku, Andrzej Kot otrzymał medal Prezydenta Miasta za zasługi dla kultury lubelskiej i nagrodę pieniężną, którą spointował krótkim „przyda się!”. Oczywiście spiritus movens całego przedsięwzięcia była Andrzejowa przyjaciółka, pani Urszula Kowalska-Kozak, bibliotekarka, pracownica Miejskiej Biblioteki Publicznej. Na wernisażu zebrali się tylko przyjaciele grafika, a on sam, cóż, zadowolenia nie krył, ale widać już było jego zmaganie się z chorobą. Dotknęła go ona gdzieś wiosną 2014 roku. Walczył z nią, póki mógł. A kiedy już nie mógł, gdy nadeszła pora,

odszedł cicho szukać „mleka dla kota i spełnionej tęsknoty...”, bo jej spełnienia Andrzej Kot chyba między nami nie znalazł.